http://www.encyklopedia-solidarnosci.pl/wiki/index.php?title=L00043_Mieczys%C5%82aw_Majdzik Go
10 captures
22 Sep 2010 - 19 Dec 2019
NOV MAR APR
2011 20 2012 2016
About this capture

Ś.P. Mieczysław Majdzik – w relacji syna Ryszarda Majdzika

Moja przygoda z opozycją zaczęła się dosyć wcześnie, mógłbym nawet powiedzieć, że jeszcze w dzieciństwie. A to dlatego, że ja sam i mój Ojciec pochodzimy z bardzo patriotycznej rodziny. Dziadek - legionista, żołnierz 5 Pułku Legionów został zamordowany przez sowietów w Miednoje. Przed wojną był przez krótki okres komendantem policji w Skawinie, a we wrześniu 1939 roku został zmobilizowany we Lwowskim Okręgu Woskowym i tamże w czasie działań wojennych zaginął bez wieści. Na początku 1940 roku moja babcia otrzymała kartkę pocztową wysłana przez niego 3 stycznia 1940 roku z obozu jenieckiego w Ostaszkowie. Dziadek zawiadamiał nią o swoim pobycie w niewoli, a przeczuwał chyba, że nie będzie już długo żył, gdyż napisał żeby zawsze, bez wglądu na wszystko, o nim pamiętać. Tradycję żywego antykomunizmu w domu rodzinnym podtrzymywał mój Ojciec. I to jemu chciałbym w głównej mierze poświęcić ta moją wypowiedź.

Odkąd pamiętam, bardzo często w domowych rozmowach poruszał On kwestię związane z dokonanym we wrześniu 1939 roku IV rozbiorem Polski. Prawdziwej historii mojego kraju uczyłem się w domu i były to najważniejsze lekcje w moim życiu. Odczuwałem ogromny dysonans między prawdą, której dowiadywałem się od Ojca, a tym całym zakłamaniem jakim odznaczały się chociażby lekcje historii w mojej szkole. Na przykład nie mogłem się na nich dowiedzieć niczego o wojnie 1920 roku, a byłem tak bardzo dumny z mojego dziadka, który brał w niej udział jako żołnierz Marszałka Piłsudskiego. Polska Armia była jedyną w historii, która pokonała niezwyciężoną bolszewicka nawałę, a polskie dzieci nie mogły się o tym dowiadywać na lekcjach w rzekomo polskich szkołach! Ja już wiedziałem, że przecież było to jedne z najdonioślejszych wydarzeń w naszej historii, kiedy po zaledwie dwóch latach wolności cały naród stanął w obronie dopiero co odzyskanej Ojczyzny. Dowodziło to wielkiej potęgi ducha i tego narodowego ducha komuniści bali się najbardziej, nie pozwalając młodym ludziom uczyć się prawdy o tych wydarzeniach. Ja miałem tą wiedzę, gdyż w rodzinnym domu panowała atmosfera, jakby wprost przeniesiona z dwudziestolecia międzywojennego. Szacunek dla starszych, umiłowanie i poświęcenie dla Ojczyzny wpajał mi Tato od najmłodszych lat i za to zawsze będę mu wdzięczny.

Istotnym było przekonanie, że nie jest moją ta Polska, która była wtedy za progiem domu. Komunistyczna, stłamszona, zakłamana bo skradziona narodowi, ale prawdziwa Polską była ta, którą wpajał mi Tato, którą miałem w sercu i do jakiej dążyłem przez wszystkie późniejsze lata mojego życia.

Pamiętam jak nauczycielka historii w piątej, albo szóstej klasie szkoły podstawowej opowiadała na lekcji jak to Budionny maszerował na Warszawę niosąc „wyzwolenie" masom pracującym. Ja wtedy nie wytrzymałem, wstałem i powiedziałem, że było całkiem inaczej. Że pani kłamie! Bo prawdziwej historii nauczono mnie w domu, Polscy Żołnierze wtedy walczyli o wolność Ojczyzny, a ta wojna zakończyła się wielkim Narodowym Zwycięstwem. Rany Boskie! Co się wtedy działo! Dostałem dwóję, rozpłakałem się w klasie, a jak przyszedłem do domu o wszystkim opowiedziałem Ojcu. On nie zastanawiając się ani przez chwilę powiedział do mnie „Ubieraj się synu, idziemy do szkoły!". Przyszliśmy, zrobił nauczycielce nielichą awanturę wypowiadając stanowczym tonem słowa: mój syn mówi prawdę! Oczywiście zmieniono mi ocenę i duża w tym była również zasługa mojego wychowawcy. Niestety niedługo po tym incydencie stracił on pracę w tej szkole.

Tato dał mi wtedy przykład, że warto bronić racji nawet wtedy, gdy można wiele stracić. Nie wolno wyrzekać się prawdy i trzeba być jej wiernym. To były czasy głębokiej komuny i tak naprawdę niewielu by się na coś takiego odważyło. Ale dla Niego najważniejsza była prawda. Walcząc o prawdę, mój ojciec w każdą rocznicę Zbrodni Katyńskiej wywieszał w oknie mapę Polski otoczoną, symbolizującym zniewolenie, drutem kolczastym, w środku na mapie znajdował się wizerunek Matki Boskiej Częstochowskiej i napis „Katyń 1940". Nad tym wisiało polskie godło – Orzeł w koronie.

Mieszkaliśmy na parterze bloku na skawińskim starym osiedlu, a okna naszego mieszkania wychodziły na ulicę, którą chodziło bardzo dużo ludzi, szczególnie młodzieży szkolnej. Wszyscy uczniowie mieszkający na nowym osiedlu Ogrody udając się do szkół musieli przechodzić obok naszego domu. Tato w ten sam sposób przypominał również o rocznicach świąt narodowych. Przed każdym 3 maja i 11 listopada, w naszym oknie znajdowały się plakaty informujące o zakazanych przez komunistów świętach. Myślę, że otrzymanie przez rodziców mieszkania w tamtym miejscu nie było tylko zwykłym zrządzeniem losu, ale po prostu sam Pan Bóg tak chciał. Mama pracowała w Hucie Skawina, bardzo długo starała się o przydział zakładowego mieszkania i w końcu władza, pewnie na odczepne je przydzieliła, nie wiedząc chyba, że czyni to niejako na swoja zgubę.

Nie zapomnę wściekłości ubeków wspinających się, żeby pozrywać te rocznicowe plakaty. Nie raz wpadali do domu i zabierali je, gdyż tato wziął się na sposób i umieszczał je za szybą. Mieliśmy co prawda z tego powodu problemy, bo ich wizyty zawsze wyglądały jak jakieś bandyckie napady, ale za to skawińska młodzież miała wtedy lekcje prawdziwej historii. Co więcej, młodzi ludzie zapamiętywali te lekcje! Jednym z nich był Adam Roliński, wtedy uczeń jednej z skawińskich szkół, a obecnie członek zarządu Fundacji Centrum Dokumentacji Czynu Niepodległościowego w Krakowie.

„Okna Majdzików" stały się solą w oku komunistycznej władzy. A przypominam, że były to czasy, w których nie istniała jeszcze żadna zorganizowana opozycja. Mój Tato nigdy się nie złamał, nie uległ żadnym naciskom, ale z wielkim uporem i konsekwencją robił swoje. Komuniści aby mu w tym przeszkodzić imali się najprzeróżniejszych sposobów. Rozsiewali o nas najbardziej nieprawdopodobne plotki. Wmawiali ludziom, że rodzina Majdzików to wariaci, że zakłamują historię i żeby im nie wierzyć. Część mieszkańców Skawiny niestety dawała się nabierać na tą ubecką propagandę, ale byli to, jakbym ich dzisiaj nazwał głupole. Natomiast bardzo wielu ludzi nas popierało. Nie okazywali tego wprost, bo panowała atmosfera totalnego zastraszenia i mówienie otwarcie, że „Majdziki mają rację", było wtedy aktem odwagi. Jednak wielokroć zdarzało się, iż całkiem nieznajomi ludzie podchodzili do mnie na ulicy i w kilku słowach wyrażali swoje poparcie. Byłem wtedy dzieckiem, a nawet i moi koledzy szkolni przekazywali mi, że słyszeli w domu od rodziców, iż to co Majdzik mówi o Katyniu to prawda, a w szkole na ten temat kłamią.

Sprawa Katynia dotyczyła bezpośrednio kilkudziesięciu skawińskich rodzin, była dla nich wielką tragedią, bo tylu przedwojennych mieszkańców Skawiny zostało tam zamordowanych przez sowietów. Dla pozostałych działalność mojego Taty była niejako impulsem, który zaczynał ich intrygować i skłaniać do myślenia, że coś w tym jednak musi być, jeżeli cały czas Majdziki o tym piszą. Tato nie tylko zresztą informował ludzi, ale i każdego roku w Święto Zmarłych ustawiał na skawińskim cmentarzu „Krzyż Katyński". Pracował jako spawacz i przed każdym pierwszym listopada przygotowywał krzyż ze stali nierdzewnej, a poparcie dla sprawy, której się tak poświęcał, widoczne było po ilości zapalonych pod nim zniczy. Byłem wtedy dzieckiem, ale nigdy nie zapomnę tego widoku. Ludzie podchodzili w milczeniu i zapalali świece oddając hołd Ofiarom Katynia. Czynili to, jakby na przekór kłamstwom oficjalnej propagandy i za każdym następnym razem tych zniczy było tam coraz więcej. To wtedy, na tym cmentarzu odbywała się bitwa o prawdę i mój Ojciec, chociaż walczył samodzielnie, to ją wygrywał. Komuniści nie mogli się z tym pogodzić, a w takich właśnie chwilach, musieli czuć się najbardziej bezsilni. To były spektakularne wydarzenia i serce rosło, kiedy widziałem, jak jego walka przynosi takie wspaniałe efekty. Dzięki tym działaniom budziła się w naszej skawińskiej społeczności świadomość fałszu i totalnego zakłamania na którym bazował panujący, zbrodniczy ustrój. Ludzi jemu podobnych było wtedy w Polsce bardzo niewielu. Działali w małych grupach, albo w pojedynkę i nie można było o nich usłyszeć. Byli oni wówczas, jakby pojedynczymi jeszcze płomykami, z których za jakiś czas dopiero miał wybuchnąć wielki ogień.

W 1966 roku w związku z zapowiadaną pielgrzymką Ojca Świętego Pawła VI Ojciec, jak zawsze przy szczególnych okazjach i tym razem wystawił w oknie mapę Polski z tym samym motywem symbolizującym niewolę - drutem kolczastym i dodatkowo portretem Papieża oraz napisem takiej, jeżeli dobrze sobie teraz przypominam treści: „Tysiąclecie Chrztu Polski - Witamy Papieża". Bardzo cieszyliśmy się na tą wizytę, ale jak wiadomo komuniści odmówili zgody na przyjazd Ojca Świętego. Spowodowało to wielkie wzburzenie społeczeństwa, które było, pomimo i na przekór antykościelnym działaniom reżimu, w przeważającej większości przywiązane do religii. Jednak nie słychać było wtedy o jakichś większych protestach, natomiast Ojciec na fali tego niezadowolenia zorganizował strajk w Elektrowni Skawina, gdzie był wtedy zatrudniony na wydziale mechanicznym. Dla ścisłości dodam, iż oburzenie wywołane nie wpuszczeniem do Polski Papieża, nie stało się jedynym powodem tego strajku.

W Skawińskiej Elektrowni, jak zresztą w wielu zakładach pracy w tamtym okresie, panował straszny zamordyzm, pomiatano ludźmi nie liczono się z prawami pracowniczymi, zastraszano niepokornych. Stosunek dyrekcji do zwykłych, szeregowych pracowników był pełen pogardy, największe nawet podłości uchodziły władzom tego zakładu bezkarnie. Dyrektorami tam byli Niedzielin i Nocuń. Wcześniej wsławili oni się jako stalinowscy funkcjonariusze UB. A po swoich zbrodniczych dokonaniach zostali zesłani, albo lepiej by powiedzieć, miękko wylądowali na dyrektorskich posadach w Skawinie.

Przypominając to ostatnie nazwisko muszę odnieść się do czasów nam współczesnych. Otóż tenże Nocuń, to nikt inny jak tylko ojciec bardzo prominentnego obecnie dygnitarza krakowskiej prokuratury Wiesława Nocunia. Właśnie ten człowiek jest w głównej mierze odpowiedzialny za haniebne działania prokuratury w sprawach dotyczących rozliczeń komunistycznych zbrodniarzy. Dzięki jego poczynaniom wielu bandytów uniknęło jakiejkolwiek kary, a pojęcie wymiar sprawiedliwości dla ofiar komunistycznych zbrodni dzisiaj, w podobno wolnej Polsce, wydaję się tylko ponurym żartem.

Mojemu Ojcu udało się wtedy w 1966 roku zdobyć zaufanie załogi. To wcale nie było takie proste, bo przecież panowała atmosfera zastraszenia i powszechnej nieufności. Ludzie nie ujawniali swoich prawdziwych poglądów, nie sprzeciwiali się obawiając represji. Wtedy najmniejszy nawet sprzeciw władzy oznaczał kłopoty, a o otwartych zbiorowych wystąpieniach nie było nawet mowy. Niewielu było takich, którzy chcieliby nadstawiać głowy za wspólna sprawę. Tato, aby pokazać, że jest twardym człowiekiem, że jest gotów się poświęcić i przed niczym się nie zawaha stanął pod spustem zimnej wody i wytrzymał pod nim dłuższą chwilę. Dzisiaj takie metody mogą zadziwiać, a nawet pewnie i co niektórych kąśliwych krytyków rozbawiać, ale pamiętajmy w jakich się to działo czasach.

Na samym początku protestu Ojciec rzucił legitymację Związków Zawodowych. Wtedy obowiązywała obligatoryjna przynależność do związków oficjalnych. Innych nie było, a każdy nowo przyjmowany do zakładu pracy stawał się jednocześnie członkiem Związku Zawodowego. Tato publicznie pozbył się związkowej legitymacji, a poza wysuniętymi postulatami: wydania zgody na przyjazd Ojca Świętego i usunięcia znienawidzonej przez załogę dyrekcji, kolejnym było zezwolenie na utworzenie Niezależnych Związków Zawodowych. W czasie samego strajku zorganizowano Wolne Związki i chociaż nie przetrwały one długo, to jednak protest ten zakończył się sukcesem – odwołano dyrektorów Niedzielina i Noconia. Stała się rzecz do tego czasu wręcz niewyobrażalna, robotnicy wymusili na władzy usunięcie dyrektorów – ubeków, a władza najpewniej dla świętego spokoju zgodziła się na te żądania. Odbyło się to na cztery lata przed Grudniem 1970 roku, dziesięć lat przed Radomiem 1976 i czternaście lat przed Sierpniem 1980 roku. Wszyscy w Skawinie wiedzieli o haniebnej przeszłości tych dyrektorów i wszyscy po cichu cieszyli się z tego, że załoga Elektrowni pozbyła się ich raz na zawsze.

Skawina liczyła w tym czasie kilka tysięcy mieszkańców, a wciąż żywa byłą pamięć o tuż powojennych czasach, kiedy to z samego terenu miasta aresztowano prawie 200 ludzi. Przeszli oni ubeckie kazamaty i więzienia, a część nigdy z nich nie powróciła. Już same proporcje pokazują jak silnym punktem oporu przeciwko narzuconej władzy była Skawina w latach czterdziestych i pięćdziesiątych. Coś z tego ducha oporu pozostało i w czasach mojego dzieciństwa. Widziałem, że duża część ludzi popierała mojego Ojca. A On zawsze mówił prawdę w oczy. Niektórych to bolało, inni przyjmowali ją do siebie i szanowali Tatę za taką postawę. Nigdy nikogo nie wydał, nie zawiódł i można było na Nim polegać. Na ludzki szacunek zasłużył Ojciec swoją bezkompromisową postawą i pewnie też godnym podziwu uporem. Nawet ci, którzy się z nim nie we wszystkim zgadzali, nigdy nie mówili, że czynił coś dla siebie. Zawsze chodziło mu o Dobro Wspólne. Występował śmiało walcząc Prawdę i Godność. Nie pozwalał deptać godności drugiego człowieka, a tym bardziej swojej.

O respekcie jaki wzbudzał nawet wśród swoich zadeklarowanych wrogów – milicjantów świadczy incydent, który dotyczył mnie bardzo bezpośrednio. Było to już pod koniec lat siedemdziesiątych, o ile sobie teraz dobrze przypominam, w następnym roku po 1977, kiedy brałem wraz z Ojcem udział w proteście po zamordowaniu przez SB Staszka Pyjasa.. Późnym wieczorem wracałem z Juwenaliów i niedaleko od domu zaatakował mnie milicjant o nazwisku Stokłosa krzycząc: Majdzik ty.. taki owaki. Nie dałem mu się tak bezwolnie okładać, wdałem się w normalna walkę i pewnie bym ją wygrał, ale nadleciało szybko kilkunastu mundurowych. Po dłuższej chwili obezwładnili mnie i zabrali na skawiński komisariat. Tam bili do nieprzytomności i pamiętam, że w ostatniej chwili zachowanej świadomości zarejestrowałem taką oto scenę. Otóż do pomieszczenia, w którym się nade mną znęcali wszedł jakiś porucznik i krzyknął: Przestańcie, bo go zabijecie, a wtedy stary Majdzik wam tego nie podaruje! Nazajutrz, kiedy ojciec dowiedział się od sąsiadów o tym całym wydarzeniu z samego rana przybiegł na komisariat. Skutecznie zainterweniował bo zaraz mnie wypuścili. Natychmiast poszliśmy do skawińskiego pogotowia, ale tam bali się zrobić obdukcje, więc pojechaliśmy do Krakowa. Tato miał znajomego lekarza, z którym siedział we Wronkach i on na prośbę Ojca zrobił mi obdukcję zapisując jako przyczynę powstania obrażeń – pobicie przez milicjantów. Z kopią obdukcji przyjechaliśmy do Skawiny i Ojciec poszedł wręczyć ją komendantowi milicji z żądaniem wyrzucenia Stokłosy. Nie mogłem za bardzo rozpoznać pozostałych sprawców, ale pamiętam do dzisiaj ich jako zakazanych, wytatuowanych typów, normalnych kryminalistów. Tacy wtedy byli dla władzy najgorliwsi i najwierniejsi. Koniec końców, Stokłosa zniknął ze Skawiny, pewnie go gdzieś przenieśli. Tamci też po jakimś czasie poschodzili ludziom z oczu. Tato udowodnił, że można z nimi walczyć nawet w ramach tego zbrodniczego, bandyckiego ustroju. Wygraliśmy taką małą bitwę z komunizmem na własnym lokalnym podwórku. Ten Stokłosa dawał się ludziom we znaki, więc wielu odetchnęło z ulgą gdy go już nie było.

Tato wspomagał mnie w każdych trudnych chwilach i zawsze mogłem na Niego liczyć. Kolejne zdarzenia, w których nieocenioną okazała się Jego pomoc nastąpiły w czasie kiedy będąc żołnierzem trafiłem do więzienia. Zaczęło się od tego, że już na samym początku dowiedzieli się z kim mają do czynienia, bo gdy dotarłem z kolegami poznanymi w trakcie lekko zakrapianej podróży pod bramę jednostki, przekraczaliśmy ją z taka oto piosenką na ustach: „Wróci Polska jak za dawnych lat, zabijemy tą czerwoną brać". Pozamykali nas do ancla już na samym początku, ale wcale długo nie trzymali. Za to wszyscy oficerowie wiedzieli, że ten Majdzik musi nie lubić sojuszniczej Armii Czerwonej. Przez długi czas miałem spokój, skończyłem szkółkę podoficerską, dostałem stopień kaprala i co dzisiaj może zaskakiwać odczuwałem ze strony dowództwa coś w rodzaju cichego poparcia. Większość moich kolegów na szkółce pochodziła z Gdańska i Szczecina. Oni dobrze pamiętali wydarzenia na Wybrzeżu w 1970 roku i z tego powodu nie udało się dowództwu utworzyć struktury ZMS w mojej kompanii. Znalazł się co prawda jeden pachołek chętny do zorganizowania czegoś takiego, ale kiedy ogłaszali to przy wszystkich wstałem i zapytałem kolegów: czy ze względu na pamięć ofiar Grudnia 1970 mogą pozwolić sobie na przyłączenie się do jakiejś czerwonej jaczejki? Dowódca siadł na mnie, ale mogę powiedzieć, że odniosłem swój osobisty mały sukces w swojej pierwszej bitwie z tym systemem. Po szkółce trafiłem do jednostki wojskowej w Opolu, a tam panował już całkiem inny klimat. To był Śląski Okręg Wojskowy, w okolicy bardzo wiele sowieckiego wojska, a nawet dowódca jednostki miał takie z rosyjska brzmiące nazwisko – Romaniuk, jeżeli dobrze pamiętam, albo jakieś bardzo podobne. Wszystko zaczęło się, kiedy cała Polska szykowała się do pierwszej pielgrzymki Ojca Świętego Jana Pawła II w czerwcu 1979 roku. Najpierw zebrano wszystkich podoficerów i poinformowano o przepustkach na czas wizyty Papieża i taką też wiadomość przekazaliśmy żołnierzom, którzy byli w przeważającej większości Ślązakom. Oni cieszyli się, że będą mogli wziąć udział w Papieskiej Mszy, a odbywającą się najbliżej jednostki miała być Msza w Piekarach Śląskich. Jak się całkiem później okazało najbliższą odprawioną przez Ojca Świętego była msza w Oświęcimiu, ale wtedy tego jeszcze nie wiedzieliśmy i na Piekary Śląskie umawiałem się z całą moją drużyną. Pod koniec maja przyszła decyzja o odwołaniu urlopów i wszystkich przepustek w czasie Papieskiej Pielgrzymki. Powiedzieli tylko, że w zamian każdy kto tylko zechce, będzie mógł oglądać Papieża w telewizji.

Wtedy zaczęliśmy się burzyć, a ja powiedziałem, że nie ma na to zgody, że chcemy urlopów, które się nam i tak prawnie należały! Dowództwo zaczęło na mnie patrzeć bardzo krzywo, a jeszcze w międzyczasie zorganizowano spotkanie, na którym wmawiali żołnierzom, że Katyń to była zbrodnia niemiecka. Oczywiście zabrałem głos na tym zebraniu i powiedziałem, że to kłamstwo, a Polskich Oficerów w Katyniu wymordowali sowieci! Stałem się bardzo niewygodny i wyczuwałem wokół siebie bardzo napiętą atmosferę. Dowództwo zorganizowało prowokacje, wysyłając żołnierzy wartowników żebym wdał się z nimi w bijatykę. Nie dawałem sobie w kaszę dmuchać i broniłem się przed nasłanymi napastnikami. Zamknęli mnie do aresztu pułkowego, a nazajutrz stanąłem przed dowódcą pułku i on powiedział, że jak odwołam wszystko co mówiłem o Katyniu i wyjeździe na Pielgrzymkę to zaraz mnie wypuszczą, a jak się będę dalej stawiał, to zrobią mi sprawę karną i trafię do więzienia. Ja na to, że nigdy nie wyrzeknę się prawdy i nie odwołam słów, których wcale nie żałuję. Tego samego dnia trafiłem do aresztu garnizonowego w Opolu. Chociaż miałem w pamięci słowa Ojca o przesłuchaniach na UB i wiedziałem od niego, że nie należy niczego podpisywać, to jednak podpisałem protokół pierwszego przesłuchania. A to dlatego, że zarzuty jakie mi stawiano były polityczne z art. 270 kk., a stało w nich jak wół, że lżyłem i poniżałem władze PRL. Potwierdziłem tym samym prawdę, że tego systemu nienawidzę. W tym areszcie sam przeżywałem sytuację, o jakich opowiadał mój Ojciec, które przeżywał w czasach stalinizmu, kiedy był więźniem politycznym. Wiedziałem czego się wystrzegać i rozpracowałem nawet celowego kapusia, który wdawał się ze mną w rozmowy, a jak go przycisnąłem przyznał, że kazali mu się ode mnie wszystkiego dowiadywać. Po kilku tygodniach przenieśli mnie do opolskiego aresztu śledczego. A tam już było o wiele gorzej. Klawisze wyzywali mnie od bandyty, któremu się ustrój nie podoba i.t.p. Napuszczali na mnie współwięźniów – kryminalistów, ale całe szczęście dzięki zapoznaniu z takim ciekawym człowiekiem, nazywał się Grzelak, (a miał metr dziewięćdziesiąt wzrostu i stanął w mojej obronie), wychodziłem cało z tych opresji. Szczery człowiek, jak twierdził okradał tylko bogatych, no i nie lubił komuny. Po tygodniu pobytu w tym areszcie odwiedził mnie Ojciec. Nasze spotkanie trwało jedynie pięć minut. Zdążyłem zamienić z Nim tylko parę zdań, ale dowiedziałem się, że będzie mnie bronił mecenas Siłą-Nowicki. Tato powiedział mi wtedy też, że będzie głodował o to aby mnie jak najszybciej wypuścili, ale kazał mi się trzymać i napominał żebym godnie się zachowywał. Ja dobrze wiedziałem, że kontynuuję rodzinną sztafetę pokoleń, a miałem wówczas poczucie, że stoi za mną wielka moralna siła i że Ojciec będzie zawsze za mną.

Po miesiącu spotkałem się z adwokatem z urzędu, który okazał się byłym prokuratorem wojskowym. Nie chciałem z nim rozmawiać, ale o dziwo okazało się, że ten prokurator wojskowy zachował się bardzo przyzwoicie. Przekazał mojemu Ojcu informację, że po tym jak mnie zwolnią i wrócę do jednostki planowana jest prowokacja polegająca na zaaranżowaniu bójki. Po upływie trzech miesięcy od zamknięcia przyszedł klawisz i kazał mi się pakować. Wypuścili mnie, a gdy zbliżałem się do bramy pułku, czekał na mnie Ojciec i ostrzegł mnie o tej planowanej prowokacji. Jednak zanim to nastąpiło w czasie, kiedy siedziałem, w mojej jednostce rozpuszczali wśród moich kolegów plotki, że ja jestem synem byłego własowca, a nie polskiego patrioty – żołnierza WiN-u i więźnia politycznego. Żołnierze, których planowano użyć do tej akcji przyjechali do mojego domu i zmienili zdanie dopiero jak Ojciec pokazał im rodzinne pamiątki. Zobaczyli Orła w Koronie, portret marszałka Piłsudskiego na ścianie, książki o prawdziwej historii Polski. Tato powiedział im także, że był po wojnie w Batalionie „Zająca". Oni po powrocie do jednostki powiedzieli o tym pozostałym i chyba dlatego, tuż przed moim zwolnieniem, cały pułk, 1200 ludzi wysłano ponadplanowo na poligon. Na terenie pozostali tylko ci, którzy mieli brać udział w prowokacji w zamierzonej prowokacji.

Koniec końców, dzięki ostrzeżeniu przez Ojca nie dałem się sprowokować, chociaż zaatakował mnie jeden porucznik. Spotkałem go zaraz po przejściu przez bramę, a on, notabene obrzydliwy typ, zatwardziały komuch i nie dająca innym żyć kanalia, zaczął na mnie wyklinać pytając dlaczego mnie wypuścili. Puściłem mu tylko solidna wiązankę, ale posłuchałem Ojca i trzymałem ręce przy sobie.

Po zdaniu munduru i rozliczeniu się w jednostce razem z Ojcem pojechałem do domu. Po drodze wstąpiliśmy do Kazika Świtonia, żeby podziękować za poparcie jakiego udzielił mi podczas swojej głodówki. Otóż jeden z moich kolegów - Norbert Reiss z Bytomia, jeden z tych, którzy odwiedzili mojego Ojca w Skawinie, zawiózł Kazimierzowi Świtoniowi wiadomość o moim uwięzieniu w czasie, w którym on prowadził głodówkę w Piekarach Śląskich. I wtedy Świtoń obok postulatu wpuszczenia na Śląsk Ojca Świętego umieścił także żądanie uwolnienia więźnia politycznego – Ryszarda Majdzika! Dlatego też wtedy w lipcu 1979 roku zatrzymaliśmy się w Katowicach, poszliśmy na ulicę Mikołowską i mogłem poznać Kazimierza Świtonia, człowieka legendę, twórcę pierwszych Wolnych Związków Zawodowych. Zjedliśmy u niego zupę, nawet pamiętam jak dzisiaj, że był to żurek. Ale odwiedziliśmy go przecież po to, żeby podziękować za pomoc w nagłośnieniu mojej sprawy.

W trakcie tej podróży cały czas śledziła nas ubecja, a Ojciec pokazywał mi wtedy nieporadność tajniaków. Miał spore doświadczenie i doskonale ich wyczuwał, gdyż przed laty był w wywiadzie WiN-u. Uczył mnie jak ich wypatrzyć, po czym można poznać i co najważniejsze - jak taka obstawę zgubić. Po tym pierwszym więziennym doświadczeniu wezbrała we mnie normalna ludzka wściekłość. Przeszedłem egzamin dojrzałości i widziałem, że Ojciec był nawet trochę zadowolony z tego, że czerwoni dali mi lekki wycisk. A ja postanowiłem już im nie odpuszczać i zwalczać na każdym kroku.

To był czas, w którym funkcjonowała już zorganizowana opozycja i Ojciec postanowił, że nie będziemy od teraz działać sami, ale przyłączymy się do ludzi, którym leży na sercu dobro Polski. Nawiązaliśmy kontakt z uczstników krakowskiego ROPCiO w lecie 1979, a kiedy powstawał KPN Ojciec podpisał się jako jeden z sygnatariuszy. Co prawda mieliśmy kontakt z SKS-em i KOR. Ludzie z Komitetu przyjeżdżali nawet do Ojca w czasie gdy siedziałem i również nagłaśniali moją sprawę, dzięki temu mówiła o moim uwięzieniu Wolna Europa. Ale jako, że ROPCiO mocniej akcentował sprawę Niepodległości Ojciec zdecydował o przyłączeniu się właśnie do Ruchu, a nie KOR-u, który dozwalał na finlandyzację Polski. Oczywiście wyznawał zasadę jednego wspólnego wroga i nie miał nic przeciwko ścisłej współpracy, lecz tradycja piłsudczykowska bliższa nam była niż tylko rewizjonizm nawróconych byłych członków PZPR z KOR-u. Owszem, bardzo często jeździliśmy do Warszawy, odwiedzaliśmy Henryka Wujca, zawsze też byliśmy serdecznie przyjmowani przez Jacka Kuronia, ale pamiętam jak dzisiaj, że Ojciec spierał się z nimi na temat dalekosiężnego może wówczas celu, jakim było odzyskanie pełnej Niepodległości. Jacek uważał nas nawet za Korowców, lecz Tato zawsze oponował mówiąc, że zawsze będziemy współpracowali, ale do KOR-u nie wstąpimy. I nie wstąpiliśmy.

Krótko po tym, gdy powstał krakowski KPN, pamiętam że odbyło się spotkanie u nieżyjącej już, wspaniałej i dzielnej pani Emilli Afendy, na którym zapadła decyzja o powołaniu młodzieżówki. Miała ona nazwę Niepodległość i Demokracja (NiD), a ja nieco później zająłem się zorganizowaniem drukarni. Mieściła się tuz przy osiedlu Podwawelskim w prywatnym domu u Bogusia Samborskiego, nieujawnionego członka KPN. Drukowałem tam m.in. „Opinię Krakowską", a po jakimś czasie Zygmunt Łenyk przyprowadził mi jakąś panią, która drukowała tam tylko przez trzy dni, ale ten krótki okres zakończył się wpadką. Było to w lipcu 1980 roku.

Mój ojciec wielokrotnie podczas zebrań przestrzegał przed dawaniem młodzieży legitymacji. Argumentował to w ten sposób, że czym innym jest działanie starszych występujących jawnie np. sygnatariuszy, a czym innym powinien być udział ludzi, którzy w razie wyłączenia przez aresztowanie starszych, mogli podjąć się kontynuowania działalności. Chodziło mu o oszczędzanie sił na niepewne czasy. Nie wszyscy w KPN rozumieli to podejście, a ostro na ten temat spierał się Krzysztof Gąsiorowski ówczesny szef krakowskiego KPN, jak się po jakimś czasie okazało tajny współpracownik SB o pseudonimach „Rawicz" i „Ataman". Mój Ojciec był pierwszym człowiekiem, który rozpracował Gąsiorowskiego ale niestety nikt Mu nie wierzył jak przed nim przestrzegał. W sprawie legitymacji nie posłuchałem niestety Ojca i po wpadce drukarni w trakcie rewizji znaleźli ja w moim pokoju. Odsiedziałem 48 godzin, ale niejako następstwem tej wpadki stały się dociekania Ojca na temat prawdziwej roli niektórych osób działających w KPN. Miał bardzo duże doświadczenie i chociaż wtedy wydawało mi się to nieprawdopodobnym potwierdzało się wiele z Jego przypuszczeń. Mówił mi że trzeba zachować pełna dyskrecję nawet przy najbliższych kolegach, a to dlatego że ten system może mieć wszędzie ludzi. Że ten system zdolny był nawet do tworzenia organizacji o charakterze „Niepodległościowym" tylko po to, aby mieć ludzi o takich poglądach pod kontrolą. Wtedy, gdy byłem pełen młodzieńczego entuzjazmu wydawało mi się to trochę niewyobrażalne, ale oczywiście ufałem Ojcu i wierzyłem w jego intuicję popartą przecież tak wielkim życiowym doświadczeniem. Chociaż z ciężkim sercem, ale jednak podjęliśmy decyzje o zawieszeniu działalności w ramach Konfederacji. Pamiętam, że zadzwoniłem do Romy Kahl-Stankiewicz i poinformowałem ją o naszej decyzji. Powiadomiliśmy właśnie Romę ponieważ była podobnie jak my nieufna w stosunku do ludzi, zwłaszcza jeżeli chodziło o sprawy naprawdę wymagające dyskrecji. Rozumiała naszą decyzję i chociaż starała się od niej odwieść to jednak rozstaliśmy się z Konfederacją. Wiedzieliśmy przy tym, że pracy w najbliższym czasie nam na pewno nie zabraknie bo działo się to w okresie, w którym dojrzewała atmosfera do społecznego wybuchu. Jeszcze kilka dni wcześniej drukowałem wiadomości o strajkach w Świdniku i Lublinie. Wolna Europa podawała informacje o kolejnych zapalnych ogniskach, a Ojciec bardzo słusznie uznał, że lepiej robić cokolwiek nawet samemu, niźli w tak infiltrowanej przez agenturę grupie. Okazało się zresztą, że miał stuprocentową rację, ale nie znaczy to oczywiście, że Konfederacja nie skupiała w głównej mierze szlachetnych i oddanych sprawie ludzi. Większość to pełni poświęcenia i bardzo ideowi, patriotyczni - Prawdziwi Polacy. Z wieloma Ojciec współpracował przez cały późniejszy okres swojego szlachetnie przeżytego życia. Utrzymywaliśmy kontakty z Romą, Stanisławem Palczewskim, Adamem Macedońskim. Radkiem i Bożeną Hugetami. Nieco wcześniej przed tymi wydarzeniami, bo w maju 1980 roku brał udział w głodówce w Podkowie Leśnej. Chodziło wtedy o uwolnienie Mirka Chojeckiego. Byli tam Bronek Wildstein, Kazimierz Świtoń, Jacek Kuroń. Głodówka trwała tydzień lub dwa. Niektórzy w KPN (jeżeli dobrze pamiętam, to Stański) mieli pretensje do ojca, że biorąc udział w tej głodówce współpracował z KOR. Ale Ojciec mówił, że bierze udział w każdej akcji na rzecz uwolnienia więźniów politycznych i mamy tylko jednego wroga, a jest nim komunizm a nie Komitet Obrony Robotników. Działał też we współtworzonej przez siebie Chrześcijańskiej Wspólnocie Ludzi Pracy, a niedługo po rozstaniu z Konfederacją stworzył Solidarność w Skawińskiej Elektrowni.

Miałem w Nim zawsze oparcie i najważniejszego doradcę w swoich własnych działaniach. Tak było, kiedy zorganizowałem 25 sierpnia 1980 roku w moim zakładzie pracy „Elbudzie" jedyny skuteczny w całej Małopolsce strajk solidarnościowy z Gdańską Stocznią. Wtedy to On z Jankiem Franczykiem i Adasiem Macedońskim prowadzili głodówkę w Kościele Arka Pana w Nowej Hucie i w jej trakcie cały czas informowali o przebiegu naszego strajku. A chodziło wówczas o to, żeby ruszyć Hutę. Kombinat z 36 tysięczna załogą był prawdziwą potęgą w porównaniu z jednotysięcznym „Elbudem". Zaraz potem Ojciec włączył się w organizowania w Krakowie MKZ „Solidarność", a wcześniej oczywiście założył „Solidarność" w Skawińskiej Elektrowni. W stanie wojennym został internowany, a po zwolnieniu przez ani jedną chwilę nie porzucił działalności na rzecz odzyskania przez Polskę Niepodległości. Angażował się w wiele inicjatyw Solidarnościowego Podziemia, brał między innymi udział w Głodówce w Bieżanowskim Kościele w 1985 roku, przyczynił się wydania wielu publikacji, współorganizował manifestacje i najprzeróżniejsze konspiracyjne przedsięwzięcia.

Mój Ojciec był zdecydowanym przeciwnikiem okrągłego stołu i w ogóle dogadywania się z komunistami. Jego życiową misją było przekonywanie o tym, że komunizm jest najbardziej zbrodniczym reżimem i naturalnie nie mogło być mowy o porozumieniu z rodzimymi wasalami obcego mocarstwa, które poprzez tych szubrawców siłą utrzymywało swoja dominację. Czarne nazywał czarnym, a białe białym. Nie znajdował żadnych okoliczności łagodzących dla sprawców zbrodni dokonywanej przez całe czterdzieści lat na całym narodzie. Nie pogodził się ze zgniłym okrągło stołowym kompromisem, który stał się mitem założycielskim III Rzeczypospolitej. Każdy kolejny rok „Nowej Pol